

„Obiecaj, że nie będzie bołało” (opowiadanie konkursowe)

Opowiadanie, które napisałem na [konkurs](#) organizowany przez Międzynarodowy Festiwal Opowiadania.

Obiecaj, że nie będzie bołało

Zawsze starałem się dotrzymać danego słowa. Choćby nie wiem co. Zawsze miałem nadzieję, że słowo mi dane – będzie dotrzymane. Choćby nie wiem co.

Obietnica ustna była dla mnie równie niepodważalna jak wieczko słoika z konfiturami, który przeżył powódź stulecia i zardzewiał, a potem zapiekł się na amen.

Obietnica pisemna miała jeszcze głębsze fundamenty. Przypominała te kilkaset ćwierćkilometrowych słupów z betonu, które zanurza się w ruchomych piaskach dubajskiej pustyni przed postawieniem kolejnego drapacza chmur. Była nie do ruszenia.

Niestety – teoria teorią, życie życiem, człowiek człowiekowi

wilkiem i właściwie tylko kruk krukowi oka nie wykole. Chociaż przy moim szczęściu, na to ostatnie zanadto bym nie liczył.

Matka

Nie była moją matką. To znaczy była, ale nie biologiczną.

Miała wszystko, co mają typowe matki: głowę, ręce, nogi i tym podobne szczegóły, ale jej serce, czyli to czym karmią się dzieci na całym świecie, zdecydowanie nie tańczyło dla mnie. Byłem dzieckiem adoptowanym.

Przed zabraniem mnie z domu małego dziecka, moja przyszła matka musiała podpisać stertę papierów i odpowiedzieć na masę pytań. Na koniec miała już tylko złożyć podpis pod klauzulą miłości:

„Zobowiązuję się dbać o [imię i nazwisko dziecka],

kochać go/ją jak własne dziecko,*

a każdego [dzień i miesiąc urodzenia dziecka] wyprawiać mu/jej huczne urodziny.*

Równocześnie oświadczam, że mam kwalifikacje do bycia dobrą matką/ dobrym ojcem, potwierdzone certyfikatem MR04/12.*

[data i podpis opiekuna prawnego dziecka adoptowanego]”

*–[*niepotrzebne skreślić]*

Dała słowo. Podpisała się. I co? Nic.

Ci, którzy wymyślili powiedzenie „papier wszystko przyjmie” musieli chyba pracować w tamtym domu dziecka. Przez następne

dwadzieścia lat na własnej skórze przerabiałem konsekwencje feralnego podpisu.

Kiedy poznałem już wszystkie możliwe odcienie matczynej miłości, od sinych po krwistoczerwone, byłem gotowy na ucieczkę z domu.

Wreszcie byłem wolny.

Miałem nadzieję, że tak będzie już zawsze. Co prawda kilka dni po moim zniknięciu, w mediach pojawiły się komunikaty o niewyjaśnionych okolicznościach śmierci mojej matki, ale nie interesowało mnie to. Miałem inne sprawy na głowie. Chciałem żyć. W końcu. Na sto procent.

Żona

Tańczyłem z radości. Ciepły letni deszcz płynął cienkimi strugami po moim ciele. Czułem się jak bohater bollywoodzkiego filmu „Czasem słońce, czasem deszcz, od czasu do czasu otrzeźwiający gradobicie”.

Nie zauważyłem tylko, że nie moknę w deszczu, ale stoję pod rynną marki „Żona”. Przysłowia znowu nie chciały się ode mnie odczepić. Ucieczka z jednej niewoli miała wkrótce zamienić się w nowe pozbawienie wolności.

Ale po kolei.

Szczęśliwi optymiści twierdzą, że znaleźli swoje żony zupełnie przypadkiem. Trzeźwo myślący realisci uważają, że taki był ich plan. Pesymiści z napuchniętymi od płaczu oczami pochlipują, że mieli pecha.

Ja należałem kolejno do wszystkich tych grup.

Nie ukrywam, że miesiąc miodowy był boski. W mojej głowie nieustająco pobrzmiwały słowa piosenki: *ktoś mnie pokochał, świat nagle zawirował, bo ktoś mnie pokochał – na dobre i na złe.*

Niestety, po zaskakująco krótkiej fazie romantycznych uniesień, nadjechały buldożery, które starannie wyrównały wszystkie, z takim trudem usypane pagórki miłości.

Zmieniłem płytę: *i taaaaak warto żyć, i taaaaak warto żyć i taaak...* Psychologowie nazywają to zaklinaniem rzeczywistości. Byłem w tym cholernie dobry.

Nasze życie uczuciowe wyglądało jednak teraz jak teren budowy nowego Orlika.

Wszędzie glina, syf i bałagan, bo mój budżet się jakoś tak niespodziewanie skończył, a worek z prezentami dla ukochanej sflaczał jak przebity balon propagandy sukcesu. Trybuny od dawna gotowe, gapie typu „teściowa i przyjaciele” stoją za ogrodzeniem i komentują całą sytuację.

Na przeciwległych krańcach budowy dogorywają dwa zmęczone życiem spychacze. W ich bakach nie ma już paliwa, które jeszcze jakiś czas temu sprawiało, że jeden przed drugim popisował się, imponował pomysłowością, prężył stalowe łąki i zdzierał nawierzchnię, dokopując się prawie do jądra Ziemi.

I tak jak spychacze czekały na zastrzyk gotówki, by znów zatankować do pełna, tak samo my – trwaliśmy na swoich pozycjach, licząc na to, że nasze uczucia rozkwitną na nowo. Bezskutecznie.

Powiadają, że nigdy nie jest tak źle, żeby nie mogło być gorzej. Chociaż byłem przy tym, kiedy żona podpisywała dokumenty przedślubne i kiedy obiecywała przed świadkami, że

jes, aj du, to cały czas czułem podskórnie, że prędzej czy później nadejdzie katastrofa.

Pewnego ranka moje sejsmometry odczytały łamiącą wiadomość (breaking news): za kilka godzin nastąpi trzęsienie ziemi, którego epicentrum będzie moja żona. Postanowiłem nie czekać, tylko przygotować się atak rozszałanego żywiołu.

Okopałem serce workami z piaskiem, żeby nie zalały go jej toksyczne bluzgi. Zabezpieczyłem oczy deskami, żeby nie widziały tego żenującego widowiska. Wyłączyłem uszy, żeby nie uszkodził ich krzyk wściekłości kobiety, której (słusznie) wydawało się, że została zdradzona przez męża. Byłem gotowy.

Tymczasem śmiertelne uderzenie przyszło z zupełnie nieoczekiwanej strony.

Sędzia

Nie miałem nic wspólnego z zabójstwem matki. To był zwykły zbieg okoliczności – jej śmierć i moja wyprowadzka z domu. Wszyscy o tym wiedzieli. Kobieta, która obiecywała, że nie opuści mnie aż do śmierci – także.

Niestety, nie wziąłem pod uwagę, że była już żona ma znajomości w prokuraturze. I że chce z nich zrobić użytek.

Co gorsza, okazało się, że wyznawała zasadę, która mówi, że zemsta najlepiej smakuje na zimno. Tak czy inaczej to ja miałem pełnić rolę głównego dania na tej najważniejszej imprezie w moim życiu.

Sędzia dał mi słowo, że jeśli powiem prawdę, całą prawdę i tylko prawdę, to wyjdę z budynku sądu bez żadnych przeszkód.

Będę wolny jak ptak. Prawdę mówiąc, po tym wszystkim naprawdę czułem się jak ptak. W pewnym sensie sędzia dotrzymał danego mi słowa.

Szanuję go za to.

Szkoda tylko, że zamiast orła szybującego po niebie, przypominałem raczej kurę z chowu klatkowego, która całe życie męczyła się niemiłosiernie, by dopiero na końcu móc rozprostować kości, stojąc w kolejce do utylizatora.

Proszę siadać

– *Teraz już wiesz wszystko. Przepraszam, że to tak długo trwało, ale musiałem to z siebie wyrzucić. Odetchnąłem głęboko. Trochę z ulgą. Na tyle, na ile można sobie było pozwolić w mojej sytuacji.*

– *To chyba najdziwniejsze ostatnie życzenie skazańca, jakie tutaj słyszałem. Ciekawa historia... Taka żona... Co za pech... – pracownik więzienia okręgowego patrzył na mnie z nieskrywanym współczuciem.*

– *Mam jeszcze jedno życzenie, jeśli można. Obiecuj, że nie będzie bolało.*

– *Nie ma sprawy, dam ci to nawet na piśmie...*
